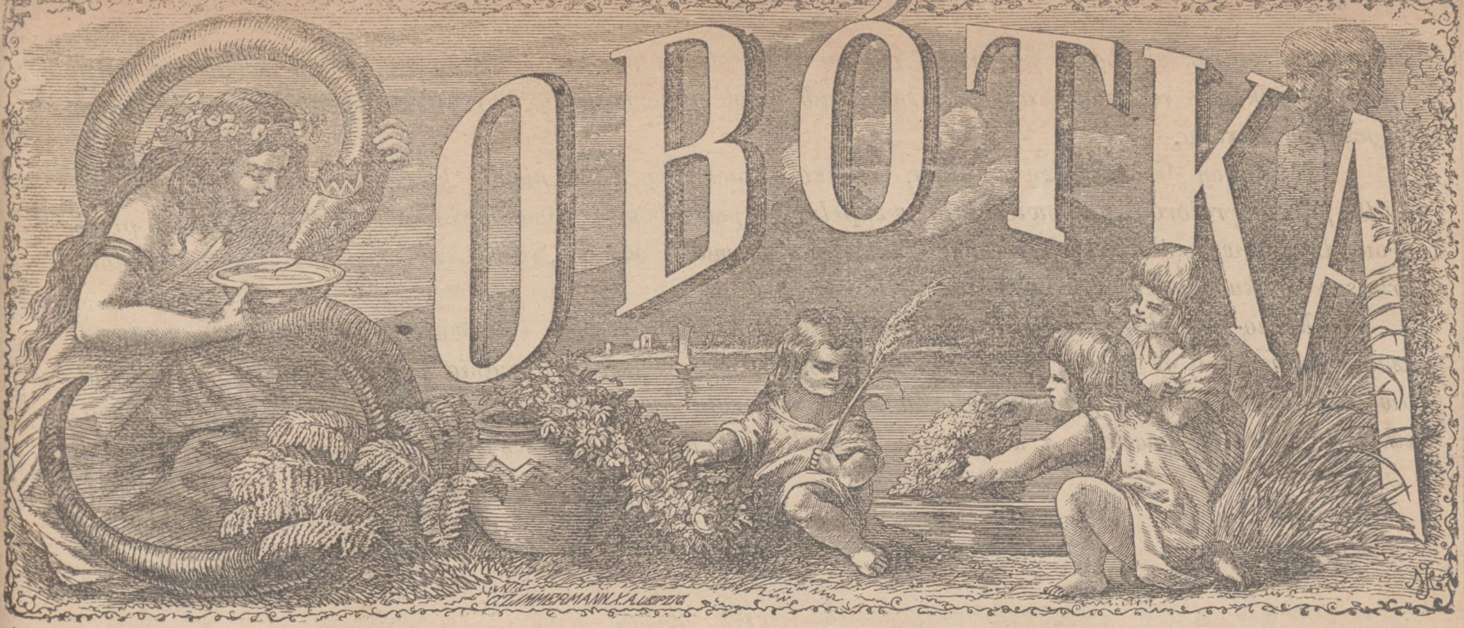


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 50. Poznań, dnia 10 Grudnia 1870. Rok II

Do Czytelników naszych.

Kiedy przed dwoma laty powstała myśl rozpoczęcia wydawnictwa Sobótki, odezwaliśmy się do Publiczności z żądaniem jéj poparcia, obiecując z naszéj strony nieszczędzić ani starania ani kosztów, ażeby zaufaniu w nas położonemu godnie odpowiedzieć. Dwa lata wydawnictwa przekonały nas, że Publiczność czuje potrzebę wypełnienia tych luk życia duchowego, którym zadosyćuczynienie za cel sobie położyła Sobótka. Nieśmiemy twierdzić, że cel ten w zupełności przez nas osiągniętym został — sami najlepiéj widzimy ujemne strony pisma naszego, ale trudności z jakiemi ono spotkać się musiało, niech nas w oczach Czytelników usprawiedliwią. Brak literackiéj i artystycznéj pomocy na miejscu, ztąd konieczność wspomagania się pracami, które nie zawsze z interesem miejscowych czytelników bezpośrednio wiązały się, w końcu zbyt niska cena, przy ograniczonéj liczbie prenumeratorów, były głównemi przeszkodami rozwoju Sobótki. Ale im większe trudności spotykamy, tém więcéj nas to przekonywa, że w zadaniu naszém ustawać niepowinniśmy — i dla tego silni przekonaniem i wiarą w żywsze poczucie potrzeby pokarmu duchowego w kraju naszym, postanowiliśmy z początkiem Nowego Roku Sobótkę rozszerzyć i tak część jéj literacką, jak artystyczną ulepszyć. W tym celu zawiązaliśmy stósunki z najpierwszemi siłami literackiemi naszego kraju, jak: J. I. Kraszewskiego, Libelta, Odyńca, Sabowskiego, Wojcickiego, Zacharjasiewicza i innych. — Przyrzeczenie pomocy otrzymaliśmy i już dziś nawet w tece znaczny zapas materyału posiadamy.

Pierwsze numery Nowego Roku zawierać będą powieść współczesną J. I. Kraszewskiego, Nowellę Wołodego Skiby i Józefa Narzymskiego, Opowiadania o naszych zwyczajach K. W. Wojcickiego, Opis Warszawy pod tytułem „Warszawa dziś i wczoraj“ tegoż autora, Poezye i Podróże artystyczno-literackie A. E. Odyńca, Rozprawę „O powieści i jéj znaczeniu w literaturze“ Bolesławity, Podróże I. Gordona itd.

Prócz tego stale, raz w miesiąc zamieszczać będziemy: Przegląd ruchu literacko artystycznego pióra Bolesławity, Kronikę miejską i prowincyonalną, Recenzye teatralne i Przegląd bibliograficzny.

Nadto winniśmy dodać, że baczni na zewnętrzną stronę Sobótki, urządzamy dla niéj zakład drzeworytniczy, którego artystyczny kierunek obejmuje p. Baranowski. Nie wątpimy, że odtąd ryciny tak pod względem wykonania, jako i ich treści zadowolnią Czytelników naszych. Przede-

wszystkiém starać się będziemy, ażeby ryciny w Sobótce zamieszczane, stanowić mogły pewnego rodzaju album Wielkopolskie, zawierające obrazy zabytków historycznych, architektonicznych i miejscowych zwyczajów narodu.

Nakładcy nie szczędzą kosztów, redakcya zachodów, aby pismo, które w ciągu 2 lat zyskało 4,000 prenumeratorów, odpowiedziało w zupełności potrzebom i wymaganiu ogółu. To téż celem przeprowadzenia wszystkich tych reform zmieniamy format i odtąd „Sobótka“ wychodzić będzie półtora arkusza druku tygodniowo. —

Mimo powiększenia formatu, mimo ulepszeń zewnętrznych i wewnętrznych, ceny nie podwyższamy w nadziei, iż każdy z Czytelników Sobótki poprze nasze usiłowania i przynajmniéj jednego lub dwóch nowych pozyska prenumeratorów. Prenumerata kwartalnie tylko 15 sgr. — przyjmują wszystkie kr. pr. urz. pocztowe i księgarnie, w Galicyi 1 fl. 15 (z przesyłką 1 fl. 40).

Nakładcy i Redakcya Sobótki.

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

Panna Eufemia z wielkiém współczuciem patrząc na łachmany kuzynka, opowiedziała mu swój zamiar — a tłumaczyła go głównie tym powodem, że jéj potrzeba koniecznie do towarzystwa człowieka posiadającego jéj zaufanie, wykształconego i pracowitego, w ogóle takiego, jakim jest Staś. Staś wahał się, lubo projekt ten nie był mu tak niemiłym, jakby się tego spodziewać można było po jego usposobieniu. Nie przyjął on od razu zrobionéj mu propozycyi, ale jéj téż od razu stanowczo nie odrzucił. Był niezdecydowanym. A prawdę powiedziawszy, przyczyną do tego była tylko obecność pana Filipa. Pana Filipa bał się. Poznał już jego chytrość i interesowność, i lękał się uledz jego wpływowi. To téż i pan Filip, jak gdyby przeczuwał ten wstręt Stanisława ku sobie, bardzo mało odzywał się w całym tym interesie, w którego dobry obrót panna Eufemia już zaczynała mieć nadzieję. Do tego bowiem udało się jéj nakłonić Stasia, że przyrzekł być u niéj w domu, i niby po głębszym namyśle stanowczą dać odpowiedź. Wizyta więc na tém się skończyła, i Stanisław nie był z niéj zupełnie niekontent. Po odejściu kuzynków rozmyśliwał nad zrobioną mu propozycyą i mimo swego samotniczego usposobienia, znajdował w niéj wiele stron dobrych. Lecz zkąd się wzięło pannie Eufemii tak pamiętać o mnie? mówił w tych rozmyślaniach swoich. — Ona, niegdyś tak interesowna, dziś zrobiła się taką szlachetną! Czyby tylko nie święciły się znowu jakie swaty? — Tegobym sobie nie życzył. — Jedna okoliczność szczególniéj przemawiała bardzo za przyjęciem propozycyi jechania na wieś, a tą było zamieszkanie cichéj ustroni, zdala od miasta i ludzi. To mu się podobało. — Jeżeli tylko panna Eufemia na prawdę myśli mnie wziąść na wieś, mówił sobie, i nie ma żadnych innych zamiarów, to dobrze; — przystanę na to, pojadę. — Grzywa był także gorliwym doradzcą jego w tym względzie. Wiedział poczciwy wieśniak, że p. Stanisław odżyje przy wygodach wiejskiego dostatku, i że pod każdym względem korzyścią będzie dla niego, gdy zamieszka na wsi, odpocznie sobie i zapomni może trochę o téj nieszczęsnéj kamienicy, którą całego jego nieszczęścia nazywał główną przyczyną. Namawiał téż swego lokatora, prosząc jednakże usilnie, aby pan Stanisław nie myślał o nim, że nie dla tego namawia do podróży, aby się go pozbyć, ale dla tego, że widzi w tém dużo przyjemności i pożytku. — To i owo rozważywszy Stanisław, zdecydował się nareszcie. Odtąd rzeczy szły bardzo szybko. Nazajutrz odebrał liścik od panny Eufemii, w którym ta szczerze dbająca o niego kuzynka, przypomina mu o daném przyrzeczeniu odwiedzin, i obok liściku przysełą mu paczkę garderoby nowiuteńkiéj, i tak potrzebnéj Stanisławowi. —

Stanisław coraz bardziéj nakłaniał się do podróży. W duszy jego obudziła się jakaś nadzieja nowego życia na wsi, a w skutek tego w usposobieniu nastąpiła bardzo szybka odmiana, obudzająca w nim nawet niechęć do dotychczasowego sposobu życia. Było to przeobrażenie nowe, wcale pożądane, a przygotowane prawdopodobnie niespodziewaną wizytą Piotrusia. Scena z tym łotrem wstrząsła poczciwą naturą Stasia — i mimo swéj nikczemności, wywarła dobry wpływ na jego dalsze życie. Samotność i ta nędza, w któréj żył dotąd, a nadto bezczynność i to próżnowanie, zaczęły go korcić; — w sam raz zjawiła się panna Eufemia i szczęśliwą była jéj propozycya, która Stanisława zaczęła godzić ze światem i ze sobą samym. Najprzód tedy postanowił być u niéj. Przywdziawszy na się dawno nieużywane suknie, dar dobréj kuzynki, poszedł w nich do niéj. Myśli jego dziwnie się teraz układały; wyraźnie czuł, że przechodzi w nową epokę życia; i dziwił się samemu sobie, że mógł tak długo żyć w takiém zapomnieniu i zaniedbaniu,

a nadewszystko w takiém rąk opuszczeniu do pracy. Myśl o legacie po raz pierwszy może, obojętnie przeleciała mu przez głowę. O kamienicy wspomniał sobie wprawdzie, ale już nie z takim zapałem jak dawniéj; cieszył się, że ją kiedyś posiędzie, ale zaczął już wmawiać w siebie, że nie trzeba liczyć na to. — Nie trzeba mi było, mówił sobie przez drogę, ani na chwilę łudzić się tém odległém szczęściem; ale trzeba mi było, tak jako zacząłem, wytrwać w naukach. — Nieszczęsny ten legat jest przyczyną mego obecnego położenia. Czyżbym to ja potrzebował tak męczyć się i dręczyć, gdybym się nie spodziewał takiego majątku. Ta kamienica zaślepiła moje oczy i pomięszała zmysły. Dzięki Bogu, że choć teraz zaczynam się opamiętywać. — I prawdę mówił. Ten zwrot w jego myślach był rzeczywistém upamiętaniem się szalonego, przebudzeniem ze snu i długiéj gorączki. —

Panna Eufemia przyjęła go bardzo grzecznie i serdecznie, i wielce się ucieszyła pomyślną odpowiedzią co do podróży na wieś. Zaczęto zaraz obmyślać przygotowania, i Stanisław poznał wtedy, że uczucia jego kuzynki są istotnie szczere i szlachetne, że im wierzyć można, że pobyt na wsi będzie dla niego wielką przyjemnością. — Miejsce dawnych marzeń o kamienicy zajęło teraz w jego duszy marzenie o życiu na wsi, o usunięciu się z miasta, i cały temu marzeniu oddany, nie wspomniał już nawet o swoim legacie, jeno ciągle przemyśliwał o Tatrzance. —

Podróż nastąpiła wkrótce. Panna Eufemia wraz z Stanisławem wyjechali do Tatrzanki, w 10 dni po pierwszéj wizycie kuzynka u kuzynki. Grzywa hojnie za swoją troskliwość i opiekę nad Stasiem nagrodzony, odprowadził swego lokatora aż do poczty i tam się pożegnał z nim serdecznie. Stanisław uścisnął mu rękę po przyjacielsku. Był to bowiem jego najszczerszy przyjaciel.

Droga nie była daleką. Przebywało się ją śród pięknych okolic Podgórza Tatrzańskiego, pora była jesienna, u nas zazwyczaj piękna i poetyczna; więc ani się spostrzegli podróżni, gdy się już znaleźli w Nowym Sączu, miłém i czyściutkiém miasteczku, od którego do Tatrzanki już tylko mila drogi zostawała im do przebycia. I tę też milę przebyto szczęśliwie; konie dworskie na usługi panny Eufemii oddane, zarówno jak cały inwentarz i służba dworska pani Ciołkowéj nieboszczki, rączo powiozły nową panią, piękną śródleśną okolicą, i zawiozły prawie w godzinę biegu przed piękny, murowany dwór Tatrzanki.

Pierwsze wejście sukcesorki w nowe dziedzictwo zazwyczaj bywa przykre. Dawni ludzie obawiają się zawsze, czy nowa pani nie będzie chciała zbyt despotycznie używać swoich nowych praw i przywilejów; więc patrzą się wątpliwie i z obawą, śledząc badawczo w każdém słowie i ruchu nowéj pani jéj charakter i usposobienie. Łagodne zachowanie się panny Eufemii, jak również serdeczne wejrzenie Stasia, sprawiły jednak bardzo korzystne na wszystkich domownikach wrażenie, tak że nazajutrz zaraz gadano po cichu w kuchni i w stajniach i w oficynie, że dobra jakaś ta nowa pani, i ten nowy jéj wokumon, człowiek wcale niczego. Nowy wokumon zamieszkał w oficynie, w mieszkaniu zajmowaném niegdyś rzeczywiście przez ekonoma, i postanowił sobie nietylko mieszkanie po swoim poprzedniku odziedziczyć, ale sam bez przedstawienia kuzynki, zabierał się do wykonywania jego obowiązków. Dobre jakieś natchnienie ożywiło i wskrzesiło jego szlachetną duszę do czynu i do pracy, i jął się jéj szczerze, z upodobaniem i prawdziwą ochotą. Nie radząc się panny Eufemii, którą teraz już ciotką swoją nazywał, ani się przed nią z swojemi zamiarami nie chwaląc, zawołał sobie karbowego, którym był bardzo uczciwy i wierny sługa dworu, Błażéj, starowina, ale krzepki jeszcze i pracowity, wypytał się o cały tryb gospodarstwa, zwierzył się nawet przed nim z swéj nieumiejętności w rolnictwie i dowiedział się od niego o wszystkich czynnościach, które na niego przypadały — i do tych czynności zabrał się zaraz bez zwłoki.

Ciotka Stasia dowiedziała się dopiero przy obiedzie, że ma już nowego ekonoma i pocałunkiem złożonym na czole kuzynka, podziękowała mu serdecznie za jego szlachetną pomoc.

Wieś Tatrzanka w bardzo przyjemnéj była położoną okolicy. Biały dworek usiadł sobie w dolince roskosznéj, do około wieńcem wzgórzy obwarowanéj. Wzgórza te uzbrojone bateryami drzewin i krzaków, miłego dostarczały cienia, i z pośród nich mogłeś jednym rzutem oka całą widzieć Tatrzankę. I dwór w dolinie i oficyny, i owczarnie i młynek trajkoczący nad Dunajem, i niebieską wstęgę rzeki przepływającą przez samą wioskę. — i pola niezbyt czarnéj gleby, ale zawsze jeszcze urodzajne, i żyto i jęczmień i nawet pszenicę rodzące Stasiowi właśnie takiego świata i takiéj uroczéj natury trzeba było. Roskoszował się nią — i w usposobieniu swém chorobliwém przychodził zupełnie do zdrowia. Po kilkotygodniowém pobycie w Tatrzance, który to czas dostatecznym już był do zrobienia wrażenia na duszy jego, oddziaływującéj bardzo szybko i gorąco na wszystkie zewnętrzne wpływy, Staś był zupełnie przywróconym społeczeństwu, z którego się wyrwał w Krakowie, i pogodzony z sobą, światem i ludźmi. Ze sobą zgodził się najprzód, bo wytłumaczył sobie, że w pracy i zatrudnieniu człowiek znajduje największe szczęście i spokój; — ze światem i ludźmi zgodził się w ten sposób, że tym światem była teraz dla niego Tatrzanka, a ludźmi, którzy mu wystarczali, byli to jéj mieszkańcy, począwszy od dobréj ciotki Eufemii, aż do ostatniego fornala Szymka — przywiązanego doń tak samo, jak wszyscy domownicy Tatrzanki. W takiéj zgodzie odżył na duszy i na sercu. Przeszłość była mu tylko wspomnieniem, które już nie wywierało na nim silnego wpływu. Odrodzony i wyzdrowiały, był szczęśliwym, i udzielał tego swojego szczęścia wszystkim, którzy się do niego zbliżali. Ciotka Eufemia najbardziéj się tém szczęściem i odrodzeniem Stasia cieszyła. Staś bowiem był dla niéj daleko przydatniejszym, aniżeli sobie wyobrażała. Ona sama o niczém myśleć nie potrzebowała. Wszystko było w jego rękach; on wszystkiém rządził, o wszystko dbał, wszystkiego bacznie doglądał. Syn dla matki nie mógłby więcéj robić nad to, co robił Staś dla ciotki, i nie było mu to żadną przykrością ani ciężarem, chociaż ciotka nieraz go upominała, aby się zbytecznie pracą nie mozolił.

— Już ja kochana ciociu wiem co robię, mawiał przy obiedzie lub kolacyi; niech się o mnie ciocia nie boi. Ja właśnie tego potrzebowałem, co mam, a za co nigdy nie przestanę być wdzięcznym kochanéj cioteczce.

— Niech cię Bóg nagrodzi swoją łaską, mój dobry chłopcze, mówiła na to wzruszona kuzynka; nigdym się nie spodziewała, że mię Bóg na stare lata takim obdarzy przyjacielem. Oj teraz dopiero widzę, jak sobie niegodziwie postąpił z tobą mój brat Filip.

— Dajmy pokój, droga ciociu; kto wie, może i lepiéj się stało, żem jego radami kierowany, zszedł wprzódy w takie bezdroże lenistwa i szału, gdyż teraz szczęśliwszy jestem mojém szczęściem.

— Ale powiedz mi mój Stasiu, co cię właściwie spowodowało do takiego opuszczenia się strasznego, w jakiém cię u tego poczciwego chłopa widziałam.

— Co? Szaleństwo, które było ostatniém ogniwem nieszczęsnego łańcucha, opasującego mój nędzny żywot. Pierwszém jego ogniwem był pan Filip, on mię zbałamucił pierwszy — reszta ogniw następowała porządkiem przewrotnéj logiki życia i głupiego rachunku w przyszłość ciemną.

— Nie mógłżeś się wyrwać z tego fatalnego łańcucha? —

— Zdawało mi się wtedy, że nie; i to było moją zgubą. Nikczemne frymarki pana Filipa z podstawionym lichwiarzem usadziły mię w drugiém ogniwie; byłem znów biednym, zakosztowawszy już rozkoszy bogactwa. Następnie bałamuctwo romantyczne...

— A! w téj pannie Wiktoryi. Powiedzże mi, czyś ty ją kochał prawdziwie?

— Nie ciociu — ja tylko jednę rzecz dotąd kochałem.

— Cóż?

Mój legat po panu Ambrożym. To była moja miłość, i jéj niewzajemność niszczyła mię i pożerała jak rdza.

— Ale teraz. —

— Teraz kocham Boga, jego piękne twory w przyrodzeniu — ciebie droga ciociu — i —

— I?...

— I — mego przywiązanego s o k o ł a, który mię na krok nie odstępuje. Sokół był to pies, przywiązany nadzwyczajnie do Stasia.

— I nie tęschno ci za nikim z Krakowa?

— Za nikim droga ciociu. — Jest tam tylko prócz poczciwego Grzywy jedno przyjacielskie dla mnie serce, do którego jednak nie mam odwagi odezwać się już dzisiaj, bom je odepchnął wtedy, gdy mi się z całą miłością uczciwego człowieka ofiarowało.

— Któż to taki?

— Jest to brat owéj panny Wiktoryi, poczciwy Tomasz Wilecki. On był jedynym moim przyjacielem. I przyznam się cioci, że jeżeli się czasem przenoszę wspomnieniem do Krakowa, on mi tylko jeden zawsze stawa na myśli, i jeślibym miał tęsknić za Krakowem, to tylko chyba dla tego, że on tam jest, że jego przyjaźni mi żal.

— Napisz do niego. Jeżeli taki uczciwy, to ci przebaczy twoje zapomnienie.

— Nie mogę. Zanadto go zraniłem.

— Właśnie téż dla tego powinieneś napisać, aby tę ranę zagoić.

— Pisanie tego nie zagoi, co zadało całe życie.

— Ten skrupuł jest niewłaściwy. Jabym radziła napisać do niego, a on z pisania pozna pewno, czy słowa płyną z serca, czy tylko są prostą grzecznością. Przecież to umiemy rozróżnić.

— To prawda. Kiedy więc zresztą ciocia tak radzi koniecznie, to ja napiszę.

— A to bardzo dobrze.

— Na takich rozmowach schodziły najczęściéj obiady, kolacye i czasami podwieczorki w Tatrzance. Staś spowiadał się przed ciotką ze wszystkich swoich grzechów przeszłości, i z tych spowiedzi poznać można było dopiero, jako zupełnie zerwał był z tą przeszłością, i patrzał zdrowo przed siebie, i o legacie wspominał tylko jako o wygranéj na loteryi, któréj się spodziewamy, ale na którą nie liczym wcale.

I był więc szczęśliwym — i mógł nim być długo — długo — całe życie nawet, gdyby — nie pewne okoliczności znowu, które na zmącenie tego szczęścia wpłynęły.

Wśród cichego, spokojnego życia w Tatrzance, niktby zapewne ani zamarzyć nie mógł, że niespodziewanie i znienacka nadciągnie tam burza gwałtowna, z gromem nieszczęścia i trwogi, i zamąci spokój ten i tę ciszę tak samo, jak kamień rzucony na ciche zwierciadło rzeki, który targa jéj pogodne czoło w fałdy fal i bałwanów wzburzonych. — Taka burza jednak nadciągnęła do Tatrzanki. Było to w niedzielę, w parę miesięcy po zjeździe nowéj dziedziczki. Ciotka ze Stasiem siedziała jeszcze przy obiedzie, i jakąś zajmującą prowadzono rozmowę. Przed dwór zajechał wózek chłopski, a na nim dwóch żandarmów uzbrojonych, i urzędnik sądowy w uniformie. Czyste sumienie niczego się nie lęka. Staś najobojętniéj przypatrywał się gościom wysiadającym z wózka, i zdążającym do dworu. Urzędnik sądowy wszedłszy do sali, w któréj ciotka siedziała ze Stasiem — wydobył pugilares, roztworzył go z flegmą i straszną formalnością chłodu i obojętności, i wydobywszy z niego papier z urzędową pieczęcią, oznajmił, iż z polecenia wyższéj władzy ma odbyć rewizyą osób i mieszkania.

Ciocia, jak zwyczajnie kobieta draźliwszych nerwów, przeraziła się tą wiadomością, Staś jednak spokojny i wytrzymały, powstał i zbliżając się do urzędnika, rzekł: Proszę o rozkaz.

— Urzędnik doręczył rozkaz odbycia rewizyi, drugi papier zatrzymując w ręku.

— Pani Dobrodziejka jest pani Eufemia Ciołek? spytał się grzecznie.

— Tak jest.

— A pan Dobrodziéj, czy nie pan Stanisław Ciołek?

— Tak jest.

— Czy pan z Krakowa?

— Tak.

— Czy pan mieszkał na Zwierzyńcu u włościanina Grzywy?

— Tak jest.

— Pan daruje, ale mam rozkaz aresztowania Pana.

— Mnie? zapytał się spokojnie, ale z całą godnością najniewinniejszego człowieka.

— Tak jest panie. Oto jest rozkaz sądu krajowego w Krakowie.

Te słowa były gromem zwiastującym niespodziewaną burzę w Tatrzance. Ciotka z przerażenia mówić prawie nie mogła — Staś zbladł i nie mógł pojąć znaczenia téj niespodzianki. Poddał się jednakże prawu, i oddał się w ręce władzy. Rewizyę odbyto pokrótce; najwięcéj przetrząsano rzeczy Stasia w jego mieszkaniu, poczém Staś, pożegnawszy się z zanoszącą się od płaczu ciotką, uspakajając ją swojém czystém sumieniem, zaopatrzony

sobie wytłumaczyć tak samo, jak ich pani. Ciocia nazajutrz nie mogąc uspokoić się z trwogi i przerażenia, kazała co tchu zaprzęgać — i pospieszyła do Krakowa, aby się tam dowiedzieć przynajmniéj o co tego zacnego i szlachetnego człowieka posądzano. Pewną ona była jego niewinności, a jednak samo to okropne zdarzenie trwożyło ją i niepokoiło nie do opisania. — Wieczorem o 10 stanęła w Krakowie i natychmiast posłała po pana Filipa.

Usłużny pan Filip, ciekawy także zapewne przy-



Lissowczyk.

we wszystkie potrzeby i pieniądze na drogę — w towarzystwie dwóch żandarmów i urzędnika sądowego, odjechał do powiatowego miasteczka, zkąd odwieziono go nazajutrz do Krakowa i osadzono w więzieniu śledczém na ulicy Kanonnéj. Ciotka płakała długo i gorąco — żadna myśl nie przychodziła jéj do głowy prawdziwa, cudactwa tylko przerażały ją potwornemi fantazyami, domownicy ze zwieszonemi głowami chodzili jak potruci — szemrząc ubolewania nad nieszczęściem które ich dobrego pana spotkało, a którego nie umieli

czyny nagłego przyjazdu kuzynki, przybył zaraz, chociaż to już była spóźniona pora.

— Ach! panie Filipie zmiłuj się, i gadaj co się tu stało?

— Witam, witam, kochaną kuzynkę. Już tedy wiadomém jest nieszczęście, jakie spotkało panią Ambrożową? —

— Nic a nic nie wiem; oprócz tego, że mi Stasia wczoraj zabrali.

— Zabrali? zaaresztowali?

— A tak — okropnie mię to dręczy, więc mów mi kuzynku o co to takiego?

— A! — zapewne on musiał o tém wiedzieć.

— Kto?

— Staś.

— Nic a nic nie wiedział, tak jak ja nic nie wiem dotąd.

— Doprawdy? kuzynkę Ambrożową otruto.

— Czy być może.

— A tak było. Spieszny ratunek przywrócił jéj życie, ale na zdrowiu ciężko zapadła.

— I któż taki?

— Któżby, jeźli nie przyjaciel Stanisława.

— Ten łotr może, co go to namawiał dawniéj? —

— Kto wie, kto kogo namawiał.

— Kuzynku nie krzywdź poczciwego człowieka. Ach! jak on musi cierpieć.

— Kto zasłużył, musi cierpieć, kto nawarzył sobie piwa, musi je pić.

— Czy złapany ten niegodziwiec?

— Naturalnie. Muszę kuzynce opowiedzieć całe wydarzenie.

— Ach! czekam na to tak niecierpliwie.

— Otóż tak było: Anusia pani Ambrożowéj miała jakieś stósunki ze Stasiem. Do téj tedy Anusi przyszedł raz przyjaciel Stasia, Piotruś, i przepłaciwszy ją pieniędzmi od Stasia w liście mu przesłanemi, namówił głupią dziewczynę do wsypania swéj pani do kawy jakiegoś proszku, który i Stasiowi i jéj i jemu zapewniał szczęście ogromne. Anusia dała się namówić podszeptom łajdaka — zrobiła co jéj polecono, i w téj saméj prawie chwili, gdy jeszcze p. Piotr nie wyszedł z domu, wsypała proszek do kawy, którą właśnie podawała pani. Piotrusia z Anusią rozmawiającego na nieszczęście spiskowców dopatrzył stróż kamieniczny, któremu się nie podobała twarz oszusta. Gdy więc łotr wychodził na ulicę, stróż Jan kazał go z własnego instynktu zaaresztować policyantowi. A gdy pomimo oporu i szamotania, nędznik był już w rękach sprawiedliwości, wieść trwogi rozległa się po całym domu, że pani Ambrożowa umiera. Zwołani lekarze, objaśnieni opowiadaniem stróża, zadali antydatum skuteczne, i uratowali nieszczęśliwą. — Anusia zaś i Piotr dostali się do kryminału, gdzie także siedzi i ów poczciwy chłop Grzywa, po którym nie spodziewałem się wcale tego, co się tam na nim pokazało.

— Boże mój drogi! Cóż to za nieszczęście okropne.

— A nieszczęście.

— Ale mój kuzynku kochany, czyliż w tém wszystkiém nie widzisz niegodziwéj sprawki tego pana Piotra, któremu się nie udało namówić Stasia do zbrodni?

— Tak — to wszystko być może, ale pozory są straszne przeciw Stanisławowi.

— Jakież?

— List jego własną ręką pisany do Piotra.

— Podrobiony.

— No tego nie wiemy. Sąd zapewne nie wyda wyroku, dopóki się o wszystkiém nie przekona.

— Ach! żeby go tylko nie męczyli długo w więzieniu; jabym przysięgła, że on jest niewinny, i gdybym była sędzią, wiedziałabym kogo ukarać...

— Dla tego też łaskawa kuzynko nie powierzają niewiastom spraw kryminalnych.

— Nie myślałam panie Filipie, że tak będziesz złośliwym dla tego biedaka. —

— Który był trochę zanadto niecierpliwym w oczekiwaniu na swój majątek.

— Nie dobry jesteś kuzynku.

— Ha! zobaczymy. — I skończyła się pierwsza rozmowa, pan Filip pożegnał kuzynkę, która w największéj o Stasia obawie oka zamknąć nie mogła. Nazajutrz dowiedziała się tego samego na mieście, ogólna opinia zawyrokowała, że Staś przez swego wspólnika dopuścił się zbrodni otrucia. Pełna smutku i zgryzoty, postanowiła zabawić jakiś czas w Krakowie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Wspomnienia starego szlachcica

Mnożysława Przekory.

(Obrazek społeczny).

(Ciąg dalszy)

„Pominąwszy to wszystko, wracam do swojego, i powiadam waści, że wolałbym umrzeć z niestrawności niż z głodu, i dlatego radbym jąć się tego poprawnego gospodarstwa. Z tego co tu widzę koło siebie nienajlepsze mam o niém wyobrażenie. Naprzykład p. kasztelanic odziedziczył po ojcu sześć wsi i cztery folwarki w naszym powiecie, a gdzieś tam na Wołyniu tysiąc dusz. Dopiero czwarty rok poprawnie gospodaruje, a już na Wołyniu majętności swoje sprzedał, na hipotekę dóbr tutejszych dużo cyfr się wcisnęło, a Lajbuś podobno pełny ma pugilares rewersików ręcznych.

„Drugi mój sąsiad miał czyściuteńki mająteczek. Syn jego, jakiś radca honorowy, objąwszy dziedzictwo po ojcu, jak zaczął przemyślać, poprawiać gospodarstwo, tak zasmarował hipotekę, że podobno dochód na procenta nie starczy. I tak daléj. Prawda że teraz aż miło patrzeć: wioski wyglądają jak miasta, pałace murowane, gorzelnie jak pałace, browary, cukrownie, dystylarnie, wszystko z cegły, jakby warszawskie kamienice; ale cóż ztąd kiedy dochód nie dopisuje, okowita nie odpowiada cenie, już nietylko zboża, ale nawet kartofli; buraki w przeszłym roku chybiły, w tym mniéj soczyste, nie wydają tyle, iżby koszta produkcyi pokryły. Tego już wcale pojąć nie mogę. Słyszałem że niedaleko Magdeburga w wielkiéj cukrowni uważają spekulacyą za bardzo pomyślną, gdy cena cukru fabryczna wynosi na naszę monetę groszy polskich 24 na funt. Ja sam w nadgraniczném miasteczku pruskiém najpię-

kniejszy cukier płaciłem po złotemu funt; dlaczegoż więc u nas produkcya się nie opłaca, przy cenie cukru mniéj pięknego po groszy 40, a nawet i wyżéj? zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę, ze około Magdeburga dwie morgi magdeburgskie gruntu mało co mniéj kosztują, jak u nas włóka chełmińska najpiękniejszéj ziemi.

„Otóż słuchaj waść, ja umyśliłem waści wysłać do tych Niemców, u których to agronomów, czyli po prostu mówiąc rólników, doktorami robią; zkąd to nasi panowie ryczałtem zwożą administratorów, rządzców, ekonomów, włodarzów, gorzelanych, piwowarów, cukrowników, leśniczych, gajowych i Bóg wie nie jakich oficyalistów, a wszystko wielkich mistrzów. Ja już za stary, żebym się miał uczyć tego ich szwargotania, waści to łatwiéj przyjdzie. Przypatrzysz się waść na miejscu tym niemieckim wyrozumowanym gospodarstwom, a wróciwszy, poprawiaj nasze tak, żebym ja z głodu nie umarł.“

Trzeba być młodym, żeby pojąć radość, jaką serce moje zawrzało przy takowém oświadczeniu ojca. Oh! nieraz ciężko ja westchnąłem, że brak funduszów nie pozwalał mi zwiedzić obcych krajów; a osobliwie wtedy, gdy jaki młody panicz w mojéj obecności rozwodził się nad wykwintnością restauracyi paryzkich, nad okazałością kawiarń, wdziękami subretek i t. p., wtedy serce mi się krajało, że się nie mogę poszczycić tak ważnemi wiadomościami. Dlatego też w chwili objawionego zamiaru ojca, jakby w odurzeniu jakiém, myślałem: oho! i ja niedługo będę mógł powtarzać co trzeci wyraz, kiedym był w Paryżu! Co to za rozkosz!

Zaraz bowiem w pierwszéj chwili za cel podróży założyłem sobie Paryż; o Paryżu więc jedynie marzyłem i we śnie i na jawie. Zdawało mi się, że już mnie dochodzi zapach cytrynowych i pomarańczowych drzew z lasku bulońskiego, że się zbliżam do pól elizejskich, w których rozciągnięty na przepysznéj sofie, dumać będę pod cieniem daktylowéj palmy, zwiedziwszy pierwéj, a nawet najpierwéj, Café du Foi, lub którą z uroczych kawiarń bulwarów, albo La petite bourse, albo lekkie jak zefir huryski, co wdzięcznemi pieszczotami obraz istnego raju Mahometa przedstawiają. I zaiste, pytam się, dokądże przyzwoiciéj zdążać na naukę, jeżeli nie do miasta, w którém bez mozołu, wśród zabaw i rozkoszy, wszystkiego nauczyć się można? Byłem w Paryżu! to jest to samo, jak gdybym powiedział: jestem wszechstronnie, wykwintnie ukształcony, wszystko umiem. Magister uniwersytetu, doktor, to ma znaczyć ciężko uczony, wielce mądry; skoro zaś powiedzą: był w Paryżu, to coś jeszcze wyżéj. A więc cóż ja winien, że w tym względzie myśl moja zgodną była ze zdaniem ogółu? Vox populi, vox Dei, to prawda odwieczna. Wreszcie, pytam się, dokądże biedny Polak nieokrzesany, nie mający sposobności wykształcenia się wśród swoich dzikich lasów, ma się udać, żeby się jako tako okrzesał i przyjemnie puścił część mienia skrzętnie przez rodziców uzbieranego? Może do Anglii? do kraju kupców i fabrykantów, gdzie lud od rana do wieczora jak mrówka za zyskiem goni; gdzie każdy być musi kupcem, fabrykantem lub rękodzielnikiem, i gdzie czasem parlamentowy deputat w przedsionku sali obrad narodowych spostrzega, że zapomniał odpasać warsztatowy fartuch. Ach! tam wszystko wyrachowane, zamyślone, ponure, niebo nawet posępne. Może do Niemiec? gdzie duch filozoficznéj spekulacyi na obliczach mieszkańców poważnie wyrył piętno, gdzie każde stąpnięcie pod regułę podciągnięto, gdzie ukłon kapeluszem na czas i stopień kąta mniéj więcéj ostro lub roztwartego wyrachowany. Tam wszystko ciężkie, osowiałe. Do Włoch niech jedzie malarz i śpiewak; do Hiszpanii droga niezręczna i niebezpieczna; a więc tylko do Paryża!

Ponieważ nie piszę romansu, ani powieści bohaterskiéj, tylko po prostu dla pamięci zapisuję to, co mnie w życiu więcéj interesowało, więc prosty wniosek, że mi wcale nie chodzi o to, czy te zapiski moje dwa lub trzy tomy, większym czy drobniejszym drukiem, z interliniami lub bez nich, zajmą, ponieważ wcale nie myślę poruczać tego prasie drukarskiéj; dlatego téż opuszczam wszystkie bohatersko-poetyckie opisy dworów, chałup wiejskich, karczem, dziedzińców, drzew, i t. p., bo to już po tysiąc razy opisane, odmalowane, odbite w naszych genialnych powieściach, od p. Rozbickiego począwszy, aż do .... do .... Oto co jedynie radbym odmalować, to chlewki i kurniki wybornie urządzone we wsi mojego ojca, a o czém jeszcze żadnéj wzmianki we wzorowych powieściach nie znalazłem; lecz i z tém wstrzymać się muszę, bo może w Paryżu, w ogrodzie roślinnym (jardin des plantes), zapewne dla tego tak zwanym, że w nim utrzymują zwierzęta, wspanialsze, a któż wie czy nie dogodniejsze zobaczę.

Otóż więc dla pamięci zapisać muszę, że od chwili w któréj mi ojciec o podróży napomknął, aż do wieczora, nic nie widziałem, nic nie słyszałem, o niczém nie myśliłem, tylko o podróży. Udawszy się na spoczynek, całą noc przemarzyłem o podróży, rano zaś, równo ze świtem, już mnie ojciec wezwał do siebie.

Zaledwie przestąpiłem próg pokoju, w którym ojciec się znajdował, gdym natychmiast usłyszał pytanie: „A czy też waść wstawszy przeżegnał się przynajmniéj, bo o pacierz to niema się co pytać nawet, pewnieś go już i zapomniał“ Nie oczekując zaś mojéj odpowiedzi, dodał z głębokiém westchnieniem: „Tak, zapomnieliśmy o Bogu, i Bóg się też od nas odwrócił i już więcéj jak na Egipcyan plag zesłał; boć sama cholera za wszystkie egipskie plagi stanie. Ja waści proszę i na błogosławieństwo ojcowskie zaklinam, nie słuchaj rozumowań tych niedowarzonych mędrków, co to dla dogodzenia swoim bydlęcym chuciom depczą prawa świętéj naszéj religii, osobną dla siebie wyrozumowaną tworząc moralność, którą zręcznie umieją przykrawać do każdego stanu widoku i położenia. Dla przekonania się o istocie téj ich moralności, przejrzyj waść w aktach więzień naszych biografie ukształceńszych winowajców. I cóż tam znajdziesz? Nie zbrodniarzy w ścisłém znaczeniu, ale ludzi, których wyrozumowana moralność zbłąkała i do tego opłakanego stanu przyprowadziła. Trzymaj się więc waść religii, bo ta jest nieomylną; rozumowi i największemu nie dowierzaj, bo ten jest ułomny. Obrządków naszéj religii nie wstydź się, bo w nich ukryta jest myśl wielka, wzniosła; a ci co z nich dowcipkują, albo ich nie znają, albo na światło patrzeć nie chcą, albo jak nietoperze nie mogą. Jeżeli za granicą nie znajdziesz gdzie kościoła naszego, co ci się u tych tam Niemców często zdarzyć może, tedy w kąciku swoim, jaki tam mieć będziesz, pomódl się szczerze, poleć się Bogu; a to cię pokrzepi na wszelkie przygody życia. Niech będzie co chce, ja zawsze powiadam: kto z Bogiem, Bóg z nim.“

Po takowéj nauczce rannéj wyszliśmy obydwa w pole. Zdumiałem się patrząc na rozległy obszar pięknéj nad podziw pszenicy; czém ucieszony ojciec, w te odezwał się słowa: „Widzę, że może będziesz miał ochotę do gospodarstwa, nie żałuję więc swojego postanowienia. Żebyś wszakże wiedział po co jedziesz za granicę, na co tam masz baczyć, musisz pierwéj poznać to co tu jest i jak jest. Pragnąłbym więc abyś się dobrze rozpatrzył w mojém gospodarstwie, wszystkie jego szczegóły poznał, skutki moich zabiegów obrachował, i wtedy dopiero ruszył w drogę w imię boskie“

Wśród téj rozmowy zbliżyliśmy się do pola, na którém już woły były w robocie. Uderzyło mnie, że zamiast sochy ujrzałem pługi, z niejaką odmianą jarzma. Nie mogłem się wstrzymać od zapytania o przyczynę téj nowości.

Uśmiechnął się ojciec i rzekł: „Wy młokosy uważacie starych za upartych i przesądnych, za nieprzyjaciół wszelkiego postępu; a oto widzisz, że ja choć stary, a jednak postępuję. Znajdziesz w mojém gospodarstwie niejednę nowość, tak dalece, że gdyby nieboszczyk ojciec mój, a dziad twój, wstał z grobu, możeby i nie poznał rodzinnych kątów. Pokażę ja waści i książki gospodarskie w mojéj biblioteczce, i rachunki, i rozmaite zapiski z własnego doświadczenia zebrane. Co do pługów, otóż ci powiem. Zdarzyło się, żem był w towarzystwie jedném, do ktorego się zaplątał jakiś Wielkopolanin. Wszczęła się rozmowa o gospodarstwie. My obliczaliśmy plon na kopy, on na ziarna; a lubo mnie się zdawało, że nasze kopy łatwo zredukować na ich ziarna, on się jednak na to nie zgadzał. Wśród takowych rozpraw uchwycił na język naszę sochę: nuż z niéj dowcipkować. Między innemi mówił, że Noe, potępiwszy Chama, kazał mu sochą uprawiać ziemię, a Jafetowi i jego potomkom dał pług. Hola! panie Wielkopolaninie, pomyślałem sobie, toć ja szlachcic Podlasianin, ale nie potomek Chama; spróbuję ja waszego pługa. Jakoż upatrzywszy czas dogodny, pojechałem w Lubelskie do p. starosty, który oddawna miał już pługi. Przypatrzyłem się dobrze temu jafetowskiemu narzędziu, nauczyłem się jego użycia i na wzór kupiłem jeden pług u miejscowego kowala. Wybrałem parobka, który się wnet zapoznał z nowém narzędziem; bo muszę ci powiedzieć, że nasz lud nie tak głupi jak go okrzyczano, ja to mówię nie bez zasady. Byłem ja w Płockiém u pana wojewody, naszego powinowatego, widziałem tam całą osadę Szwabów, których wojewoda parę tuzinów zapisał gdzieś tam z Niemców; a cóż to za niezdary! Boże zmiłuj się! A toć ja na moje oczy widziałem, jak jednemu ułamały się dwa szczeble u drabi, i on szukał majstra, żeby mu je wprawił. Nasz chłop oś sobie sam zrobi, koło naprawi i zgoła do wszystkich swoich sprzętów i narzędzi żadnego majstra nie potrzebuje. I cóż waść na to powie, moi wieśniacy oglądali na wszystkie strony pług sprowadzony przezemnie, patrzyli nań jak na raroga; probowali, kiwali głową i w końcu dorobili do swojéj sochy odkładnice, ciesząc się, że mają narzędzie równie dogodne jak pług, a daleko tańsze. — Zdaje się, że oni mają słuszność, ale ja, raz zaprowadziwszy pługi, niechcę ich zarzucać, żeby nie zostać Chamem w oczach Wielkopolanina.

„Muszę też dodać, że mam u siebie Macieja parobka, tak sprytnego, jak gdyby terminował u jakiego mechanika; mam także niezłego kowala. Otóż widzisz waść w całém mojém gospodarstwie, nie znajdziesz żadnego pospolitego sprzętu, któryby za granicą wsi mojéj był zrobiony. Brony drewniane i żelazne, pługi, radła i tym podobne narzędzia, wszystkie są roboty Macieja i kowala, a tak dogodne, że i mechanik Szwaba dogodniejszych zrobić nie potrafi. Jużcić młockarnią, młynek do czyszczenia zboża, sieczkarnią wielką sprowadziłem z Warszawy mospanie, i kontent jestem z nich. Mój Maciéj powiada, że pomału i takieby machiny zdłubał, a może i prawda, bo cichaczem, nic mi nie mówiąc, zabrał się z kowalem i zrobili sieczkarnią wielką, trochę niezgrabną, to przyznać trzeba, ale dogodniejszą od warszawskiéj, a ledwie połowę tego kosztującą co tamta.

„Kilka lat temu w całéj naszéj okolicy straszliwe panowały choroby; całe wsie pokotem leżały; a tu żniwa za pasem, zboża najpyszniejsze; wszystko prześlicznie obrodziło. Cóż robić, niema komu sprzątać; serce się krajało. Ale w téj biedzie przypomniało mi się, że w Płockiém będąc widziałem u Szwabów jakieś kosy z grabkami do koszenia żyta, jak mi powiadano w snop. Ale cóż, przez głupi przesąd uważałem to za niemiecki figiel i nie przypatrzyłem się należycie. Zawsze jednak tyle skorzystałem, żem postanowłł użyć kosy, choćby też tylko dla uratowania paszy. Wołam więc Macieja, włodarza starego i kowala na radę. Opowiadam im o owéj niemieckiéj kosie, opisuję jak mogę i kończę, że czy tak czy owak, wszystkie zboża trzeba wziąść na kosę; jeżeli będzie mniéj ziarna, tedy przynajmniéj nie zbraknie paszy. Moi radcy do roboty: jak zaczęli strugać, krajać, próbować, zrobili wyborne grabki. Zboże moje w snopach poszło do stodoły; miałem i ziarno i słomę. Odtąd mało sierpu używam, wszystko niemal biorę na kosę, i prócz oszczędności na żniwiarzach, mam niezmierny zysk w czasie. Otóż widzisz co to są nasi ludzie. Ale przy téj sposobności muszę dla waści i tę wyprowadzić jeszcze moralną naukę, iż wybierając się za granicę, na to pamiętać powinieneś, że w gospodarstwie żadnym drobiazgiem gardzić nie należy, wszystko dokładnie zbadać trzeba; bo trudno zgadnąć, jak dalece błahy na pozór szczegół może się stać przydatnym w danym przypadku. W papierach moich pokażę ci mnóstwo drobiazgów, którem pochwytał przypadkowo."

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Lissowczyk. (Z ryciną).

Lissowczyki, hufiec jazdy polskiéj, nazwany od imienia pierwszego pułkownika Aleksandra Józefa Lisowskiego, powstał za panowania Zygmunta III. Pierwszéj sławy się dobili w wojnie przeciw Moskwie pod wodzą Lisowskiego, Czaplińskiego i Rogawskiego. Zahartowany w boju i ruchliwy hufiec po zawartym pokoju nie mógł bezczynnie dnie pędzić, puścił się więc na swawolę i rozpustę; nie mogąc łupić obcych, zaczął swoich. Zygmunt III poruszony skargami chciał ich siłą rozwiązać, gdy cesarz Ferdynand wezwał pomocy króla polskiego przeciw powstaniu Węgrów i Czechów. Król wysyła Rogawskiego w 10.000 Lissowczyków którzy wojskom Rakoczego stanowczą zadają klęskę. Wkrótce po raz wtóry poszli w pomoc cesarzowi i stanowczo wpłynęli na zwycięstwo nad Czechami pod Białą-Górą r. 1620. Ale oto w tymże czasie i nad Polską chmury zbierać się zaczęły. Lisowczyki odwołani poszli z Żółkiewskim i pod Cecorą prawie wszyscy wyginęli. W wyprawie Chocimskiéj, w wojnie cesarza Ferdynanda nad Renem, w wojnie polskiéj przeciw Szwedom i w wielu innych po całéj Europie, prawie zawsze odznaczali się zwycięstwami i niepraktykowaną odwagą. W r: 1636 kończy się ich istnienie.

Lisowczyki, jak w początku pod pierwszym swym wodzem, który dał im swe nazwisko, stanowili pułk jeden, tak wkrótce pomnożyli go ochotnikami w hufiec tak potężny, że do 20,000 liczył. Oręż ich stanowiły spisa, szabla i przez plecy zawieszona rusznica albo łuk z sajdakiem; u łęku wisiał młotek; koń lekki i wytrwały. Wozów ani taborów te orle hufce wcale nie znały. Szyk bojowy mieli własny. Głowy podgalali zwyczajem polskim, czapki nosili wysokie z wiszącym wierzchem.

Szarada.

Pierwsze trzecie zwierzęta, ich głos, drugie trzecie,
A wszystko zaś w spiżarniach i kuchniach znajdziecie.

Rozwiązanie zagadki w Nr. 49: ***Pismo***).

Korespondencya Redakcyi.

Panu Józefowi Krótkiemu w Inowrocławiu: Przykro nam bardzo, że w niewłaściwy sposób zażartowano z nazwiska pańskiego. Stósując się do żądania, list wzmiankowany równocześnie wysyłamy. — Panu M. L. w Prusach Zachodnich: Dziękujemy — może później skorzystamy. — Panu R. R. w Poznaniu: Przyszłość okaże — obietnica niczego nie dowodzi. —